



BAJKOWE ZAKOŃCZENIE

Dawno, dawno temu...

za górami, za lasami, za piątą rzeką, na skraju lasu stała wielka chata na kurzej nodze. A w tej chacie mieszkała Dobra Wróżka, która miała moc spełniania najskrytszych marzeń.

Owa Wróżka podąża zaułkami ludzkich żyć i daje ludziom dar czynienia dobra i spełniania marzeń. Taką mocą obdarowała również pracowników Publicznego Ośrodka Adopcyjnego w Szczecinie, których największym marzeniem i misją jest znalezienie dzieciom jak najlepszych rodzin, które otoczą je miłością oraz opieką. Dlatego też za sprawą magicznej mocy owej Wróżki przekazujemy w Państwa ręce książkę. Zależy nam na tym, aby pomóc wielu parom w podjęciu decyzji o przyjęciu nowego członka swojej rodziny. Skorzystaliśmy z doświadczenia rodzin adopcyjnych, czego efektem jest książka zawierająca bajkowe opowiadania o adopcji. Jesteśmy szczęśliwi, że trafiła właśnie w Państwa ręce.

Pracownicy
Publicznego Ośrodka Adopcyjnego
w Szczecinie

CZEŚĆ I
PRZYGOTOWANIE

Najukochańsza córuniu !!!

PEREŁKO – właśnie z tatusiem przygotowujemy się do spotkania z Tobą podczas szkolenia w Ośrodku Adopcyjnym. Te spotkania tylko potwierdziły naszą świadomość, że chcemy kruchą, niewinną istotkę obdarzyć naszą miłością. Dlatego będziesz naszą „PEREŁKĄ” - szlachetną, delikatną i jedyną taką w swoim rodzaju na świecie :-)

Godziennie odmierzamy czas do spotkania z Tobą, kiedy będziemy ze sobą twarzą w twarz, ciekawi siebie nawzajem.

Ale ponieważ to oczekiwanie nam się wydłuża, stwierdziliśmy, że napiszemy do Ciebie list. Pewnie kiedyś przeczytasz te słowa swoich „Staruszków”, choć teraz jesteś malutką, ale przecież czas tak szybko ucieka...

Wiemy, że kiedy pojawisz się w naszej rodzinie, wniesiesz do niej tyle ciepła, radości i miłości, jak nikt nigdy dotąd. Wciąż przed oczami mamy Twoją drobnutką twarzyczkę, uśmiechniętą od ucha do ucha i spojrzenie pełne wiary w nas - rodziców.

Czekamy, kiedy nasza PEREŁKA powie mamo – tato. Proste słowa, lecz dla nas cenniejsze niż wszystkie skarby tego świata. Dzięki Tobie przewartościuje się nam całe życie na jego dobrą stronę.

Chcielibyśmy Tobie przekazać całe nasze serducha, wartości, doświadczenie życiowe i wiedzę. Mamy tyle do powiedzenia o świecie, naszej rodzinie, pokazanie tylu ciekawych miejsc i istot żywych, które stworzył Bóg.

Zawsze chcieliśmy mieć córcię, której, jak będzie malutką, będziemy czesać kucyki, wybierać pantofelki. A kiedy będzie nastolatką, powie nam wszystkie swe tajemnice, mając do nas zaufanie, że nigdy pochopnie jej nie ocenimy.

Z którą będziemy śpiewać, tańczyć, jeździć na rowerze, grać w piłkę, dużo dużo się przytulać. Robić wszystko to, co będzie nas zbliżało i sprawiało nam radość. A Ty każdym swoim uśmiechem będziesz ujmowała nam lat.

A wieczorem, gdy zmęczoną tatusi położy Cię do łóżka – będziemy czytać naszej PEREŁCE bajki o tym, co wyszumiała wierzba w polu, o tym, jak pewna piękna i mądra dziewczynka skradła serca swoich rodziców.

Razem powitamy „Wróżkę Zębuszkę”, pójdziemy do przedszkola, na Bal Karnawałowy – krótko mówiąc, chcemy dla Ciebie stracić głowę.

Ooooo już ze szczęścia nie czuję, że rymuję :-)

Oczywiście czasami dopadnie Cię diabełek i wtedy będziesz mniej grzeczna, ale damy radę... bo jak nie my – to kto, prawda? Bo my będziemy się kochać!!!

Tak więc PEREŁKO czekamy na ten najpiękniejszy dzień w naszym życiu, kiedy wyjdziemy na spotkanie Twoim i naszym marzeniom. I głęboko wierzymy, że one się spełnią !!!

Przyszła Mama Asia
i przyszły Tata Mirek

Kochane dzieciaki!

W chwili, w której piszemy ten list, jeszcze się nie znamy, ale bardzo chcielibyśmy Wam opowiedzieć o nas.

Mama Madzia uczy studentów i lubi gotować. Tata Jacek siedzi z nosem w komputerze i pisze fajne programy. Lubimy wspólne spacery i podróże. Żyjemy sobie spokojnie w przytulnym mieszkanku, ale czegoś nam brakuje do pełni szczęścia. Brakuje nam dwóch małych rozrabiaków, takich jak Wy, które by wniosły jeszcze więcej energii i radości do naszego życia. Spotykamy się nieraz z Wami w naszych snach i marzeniach. W naszej rodzinie są już maluchy takie, jak Wy. Tata ma dwie siostrzenice, a mama dwie siostrzenice i siostrzeńca. Wszyscy na Was czekają. Pragniemy przyjąć Was do naszej rodziny i pokazać Wam świat i wartości, które kochamy.

Dziś byliśmy na spacerze w parku pełnym jesiennych, kolorowych drzew. Wiatr szumił i wprowadzał liście w taniec. Wśród nich widzieliśmy hasające między drzewami dwa maluchy, którym wielką frajdę sprawiało zbieranie kolorowych liści. Spoglądaliśmy na Was, a w naszych sercach gościła radość, bo zobaczyć uśmiech i szczęście dziecka jest bezcenne. Słyszeliśmy dziecięcy śmiech, a za chwilę płąsy w liściach zamieniły się w gonitwę za niewidzialnym skrzatem. Na moment przykucnęliśmy i za chwilę na policzkach poczuliśmy dotyk Waszych małych rączek. Mama wyjęta z kieszeni dwa lizaki, które szybko zniknęły w Waszych dłoniach. Tata krzyknął, kto się ściga do tamtego drzewa?

A maluchy już pognały przed siebie. Nie doścignął ich, bo nie chciał im psuć zabawy...

Mamy Was już w naszych sercach i oczekujemy na spotkanie z Wami. Pragniemy, aby nasze marzenia i sny się spełniły.

Do zobaczenia
Przyszła Mama Magda
i przyszedł Tata Jacek

Jak wyglądała nasza długa droga do Ciebie, Nasz SKARBIE!!!

Opisując tę długą drogę, muszę zacząć od początku, bo początek tej historii, jaką chcę Ci opowiedzieć, zaczyna się w moim dzieciństwie, a więc: Już jako mała dziewczynka mówiłam wszem i wobec, że kiedyś, jak dorosnę, **ADOPTUJĘ DZIECKO** (bo przecież tyle dzieci nie ma rodziców). Nigdy bym nie pomyślała, że słowa powtarzane dawno, dawno temu, trochę żartobliwie przez małą dziewczynkę, która przecież nie mogła wiedzieć, co tak naprawdę to oznacza i co się za tym kryje, wróci jak **BUMERANG** i okaże się dla mnie i Twojego taty szansą na zaznanie prawdziwego szczęścia.

Ja i twój tatuś poznaliśmy się dziesięć lat temu, po dwóch latach znajomości wzięliśmy ślub i mieliśmy tyle pięknych planów i wspólnych marzeń o założeniu rodziny. Po trzech latach starań o dziecko, czyli o **CIEBIE NASZ ANIOŁKU!!!**, przyszła długa droga, która trwała cztery długie lata i prowadziła od lekarza do lekarza i setki badań. Od chwili, gdy lekarze stwierdzili, że nie będziemy rodzicami, **NIE PODDAŁIŚMY SIĘ...** i cały czas walczymy o Ciebie **NASZE SERDUSZKO!!!**

Po leczeniu przyszło nam podjąć ostatnią decyzję między **IN VITRO** a **ADOPCJĄ**. Stojąc przed takim wyborem, bez wahania razem z tatą zgodziliśmy się w stu procentach, że chcemy, aby była to **ADOPCJA!** Bo przecież macierzyństwo nie jest dla nas kwestią biologii i nie ważna jest droga, przez którą zostaniemy rodzicami.

Wybraliśmy adopcję, która też jest długa i ciężka, ale wiemy, że na końcu tej drogi czekasz na nas **TY...** Zebrałiśmy wszystkie siły i zaczęliśmy następną drogę, która dalej trwa i prowadzi przez złożenie dokumentów w Ośrodku Adopcyjnym, rozmowy, setki pytań (rozwiązywanie testów), poprzez szkolenia grupowe. Czeką nas jeszcze kwalifikacja i w końcu ten wyczekiwany telefon z Ośrodka Adopcyjnego z wiadomością, że już na nas czekasz :):)

Jeszcze Cię nie ma z nami, jeszcze troszeczkę, a będziesz w naszych ramionach. Nie możemy się doczekać pierwszego spotkania z **TOBĄ**, aby poznać Twoją twarzyczkę, by Cię móc przytulać i całować. Łza się kręci w oku, Ty będziesz naszą radością i życiem. Nie będzie takiej rzeczy na świecie, której byśmy dla Ciebie nie zrobili i choć tak długa i trudna droga poprzez Adopcję, upewnia nas, nie zniechęci - możesz być serduszko pewne.

Czekamy na **CIEBIE**.

Przyszła Mama Ewa
i przyszły Tata Mariusz

Witaj,

Nigdy Cię jeszcze nie widzieliśmy, nie słyszeliśmy, nie czuliśmy Twojego ruchu ani zapachu i choć nie mamy pewności, czy już się urodziłaś(eś), to jednak wiedz, że już jesteś w naszych sercach.

Chcielibyśmy Ci zdradzić w sekrecie, że nazywamy Cię PRZYBYSZEM i choć może to banalne określenie, to mamy nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Mamy dla Ciebie, Drogi Przybyszu, przygotowany pokoik. Nie jest on za duży, ale myślimy, że powinien być w sam raz. Długo zastanawialiśmy się nad kolorem ścian, aż w końcu zdecydowaliśmy, że będą w kolorze słonecznym, żeby w Twoim życiu zawsze świeciło słońce, tak jak i u nas zagości wraz z Twoim pojawieniem się. Tak naprawdę, Kochany Przybyszu, to już nie możemy się doczekać, kiedy po raz pierwszy Cię zobaczymy, ucałujemy i przytulimy. Sama myśl o Tobie sprawia, że na naszych twarzach gości uśmiech. Czasami łapiemy się na tym, że uśmiechamy się sami do siebie, myśląc o tym momencie.

Jesteś dla nas ogromną tajemnicą. Zastanawiamy się nad Twoim wyglądem, kolorem oczu, włosami no i charakterem :-). Nie wiemy, czy jesteś/będziesz księżniczką, czy królewiczem...

Mamy tyle rzeczy do pokazania Ci i do zrobienia wspólnie. Choć jeszcze Cię nie ma z nami, to już snujemy pierwsze plany. W trakcie naszych spacerów i wycieczek pokażemy Ci, jaki piękny jest świat. Jak tylko zaczniesz chodzić, to wspólnie będziemy rozbijać kałuże po deszczu. Pojedziemy nad morze, aby lepić zamki z piasku i w góry, żeby trochę się powspinać... Jak tylko spadnie śnieg, ulepimy bałwana, no i oczywiście wojna na śnieżki obowiązkowa...

Nauczymy Cię tego, co potrafimy najlepiej. Nie jesteśmy idealni, ale dołożymy wszelkich starań, aby być dobrymi rodzicami. Pamiętaj, że zawsze będziemy się troszczyć o Ciebie. Gdy zapłaczesz, ukoimy Twój ból i żal. Będziemy Cię wpiierać dobrą radą i starać się z całych sił, żebyśmy byli szczęśliwą rodziną.

Do zobaczenia Kochany Przybyszu!
Twoi przyszli Rodzice

Córeczko,

Piszę te słowa, mając w głowie jednocześnie i pustkę, i wielki chaos myśli, i pytań bez odpowiedzi. Nie wiem, co Ci powiedzieć, napisać, bo nie wiem nawet, czy jesteś już na świecie... Codziennie zastanawiam się, czy już się urodziłaś, czy czekasz już gdzieś na mnie i czy ktoś pozwoli mi Cię spotkać i zostać Twoją mamą? Czy ktoś w ogóle wyda ocenę, że nadaję się na mamę? I czy się nadaję? Tysiące pytań codziennie przychodzi mi do głowy... Jak to będzie? Czy mnie zaakceptujesz i czy pozwolił się pokochać, jeśli ktoś jednak zwiąże ze sobą nasze światy... I czy Ty pokochasz mnie?

Zastanawiam się, czy Ty - maleńka istotka, gdybyś miała wybór, chciałaabyś, abym to ja właśnie została Twoją mamą? I czy będę dobrą mamą? Czy uda mi się wychować Ciebie na dobrego, kochającego człowieka?

Nie wiem, jak wyglądasz, jaka jesteś, co Cię już w życiu spotkało, czy jesteś, nie wiem nic...

Wiem jednak, że ja bardzo chciałąbym, abyś mnie pokochała i pozwoliła być swoją mamą, abyś dała mi szansę, jeśli ktoś tę szansę podaruje mi...

Chciałąbym, abyś wiedziała, że czekam na Ciebie i codziennie myślę o Tobie. Pewnie nie będę mamą idealną, pewnie Ty nie będziesz idealną córką, pewnie będą trudne chwile, bo trudny jest ten świat, ale chciałąbym bardzo, aby to był nasz świat, nasz wspólny świat, w którym, jeśli tylko zechcesz, będziesz mogła w każdej chwili przyjść się poprzytulać, popłakać, poradzić, pośmiać, pomilczeć, pomarzyć..., może nawet powierzyć swoje tajemnice...

Chciałąbym, abyś wiedziała, jak bardzo nie mogę się doczekać, aż Cię poznam, jak czekam na nasze spotkanie, bycie razem, na bicie Twojego serduszka, na Twój pierwszy uśmiech na mój widok (bo wierzę, że taki kiedyś nastąpi), na pierwsze słowo „mama”...

Czekam na Ciebie dziecinko... I marzę...

Twoja przyszła (jeśli pozwolisz) mama

Drogie dzieci!

Choć jeszcze Was nie znamy, to już bardzo kochamy. Czujemy się, jakbyśmy stali w kolejce na początku, której ktoś rozdaje złote rybki spełniające życzenia. Stoimy w niej już długi czas, ale nie zniechęcamy się, gdyż tym życzeniem jesteście Wy. Choć nie wiemy o sobie wzajemnie zupełnie nic, to jednak czujemy się trochę jak baśniowa dziewczynka z zapałkami, która po zapaleniu zapałki przez chwilę czuje, że jej marzenia się spełniły. Choć jej historia kończy się smutno, to my widzimy jedynie płomyk nadziei. Wciąż czekamy na ten moment, w którym Was poznamy, będziemy mogli poczuć ucisk w gardle, gdy popłyną łzy oraz gdy będziemy mogli Was przytulić, kiedy nasze najważniejsze marzenie się spełni. Każdego dnia obserwujemy dzieci z rodzicami i zastanawiamy się, jak wyglądacie, w jakim jesteście wieku, co lubicie, a czego wręcz nie znosicie. Codziennie zastanawiamy się, czy jesteście optymistycznymi sangwinkami, być może wrażliwymi melancholikami, a może impulsywnymi cholerykami, choć może opanowanymi flegmatykami. Niezależnie od tego, jacy jesteście, my Was już zaakceptowaliśmy takimi, jakimi jesteście, licząc, że Wy zaakceptujecie to, że nie wiem, kiedy wstawić akapit oraz że nie wiem wszystkiego. Jednak zrobimy wszystko, byście byli szczęśliwi.

Obiecujemy wspierać Was przy dokonywaniu wyborów, pomagać Wam, gdy będziecie upadać, a także być przy Was zawsze, gdy będziecie nas potrzebowali. Solennie przyrzekamy spędzać z Wami czas każdego dnia razem, gdy praca na to pozwoli i mieć Was na wyłączność, gdy jedno z nas będzie

w pracy. Słowo honoru, że będziemy dbali o siebie wzajemnie, byście już zawsze mieli przed oczami obraz kochających się rodziców. A gdybyśmy zapomnieli o tym, co Wam przyrzekliśmy, pokażecie nam ten list, byśmy przypomnieli sobie wszystko, co tu napisaliśmy.

My, Wasi oczekujący przyszli rodzice

Drogie Dziecko

Czekamy na Ciebie już około roku i bardzo chcielibyśmy, aby nastąpił ten dzień, kiedy będziemy mogli się poznać. Mimo tego, że jeszcze nie mieliśmy okazji się spotkać, to wiemy już na pewno, że tak samo Ty czekasz na nas, jak my na Ciebie.

Od tego momentu wszystko się zmieni w naszym i Twoim życiu, zaczniemy być rodziną, taką od początku, taką, w której na świat przychodzi nowy członek tej rodziny, ktoś bardzo ważny, ktoś, kogo chcemy pokochać z całego serca i być dla niego mamą i tatą, czyli rodzicami. Chcielibyśmy Ci dać wszystko, czego potrzebujesz, żeby się rozwijać i doskonalić w tych umiejętnościach, które sprawiają Ci radość. Mamy nadzieję, że pokochasz nas tak samo, jak my Ciebie i będziemy mogli cieszyć się każdą chwilą spędzoną razem.

Z nami czeka na Ciebie również cała nasz rodzina, ta bliższa i dalsza, oni także pragną Cię poznać i otoczyć miłością, na którą zasługujesz, ponieważ jesteś jedyny, wyjątkowy i niepowtarzalny.

Każdy kolejny dzień zbliża nas do spotkania, czekamy na Ciebie, by móc Cię pokochać i cieszyć się Twoją obecnością.

Twoi przyszli Rodzice

CZĘŚĆ II
OCZEKIWANIE

Nazywamy się Agnieszka i Łukasz.

Jesteśmy małżeństwem od 8 lat. Przez cały czas staraliśmy się o dziecko, ale bez skutku. Przechodziliśmy różne badania - wiele inseminacji, aż do in vitro (bez powodzenia). Trwało to przez 2 lata. Byliśmy już nimi zmęczeni. Wtedy pojawiła się myśl o adopcji. Podjęliśmy wspólnie decyzję o adopcji dziecka. Zgłosiliśmy się do Ośrodka Adopcyjnego. Tam czekała na nas długa droga procedur i formalności, ale nie zraziło nas to.

Po roku czekania zadzwoniła do nas Pani z Ośrodka, że czeka na nas 3,5 - miesięczna dziewczynka.

Po tej informacji byliśmy bardzo szczęśliwi!!!

Będziemy mieć długo oczekiwaną córeczkę!!!

Czekaliśmy 3 dni na pierwsze spotkanie (to były długie dni). Jadąc na spotkanie, jechaliśmy z ręką na duszy. Nie wiedzieliśmy, jak ona zareaguje na nasz widok i czy my będziemy mogli ją pokochać. Nasze obawy szybko minęły. Gdy tylko opiekunka nam ją pokazała, to coś w nas pękło - bardzo się wzruszyliśmy.

To jest nasze słoneczko, które rozgrzało nasze serduszka. Bez niej nie wyobrażamy sobie życia. Ona jest pięknym darem od Boga. Teraz nas czeka ostatnia formalność - złożenie dokumentów do sądu i czekamy z utęsknieniem na naszą córeczkę, kiedy będzie z nami... w naszym domku.

Szczęśliwi Agnieszka i Łukasz

CZEŚĆ III
PRZYTULANIE

MAMA, TATA, JA



W pewnym mieście żyło sobie małżeństwo, które bardzo chciało mieć dziecko. Kochali się bardzo i nie mogli sobie wyobrazić świata bez maleńkiej istotki złożonej z nich dwojga:

- Żeby miało Twoje piękne włosy – mówił MAŻ.
- Żeby miało Twoje piękne niebieskie oczy – mówiła ŻONA.

Lata miały, odwiedzali kolejnych lekarzy, kolejne kuracje, kolejna nadzieja...

Opowiem Wam, oczami kobiety, naszą „bajkę”...

Największym orędownikiem naszej decyzji o adopcji była moja mama. Po pierwszej mojej operacji – najcięższej – udrożnianie jajowodów, ale wtedy myśleliśmy, że jedynej i ostatniej, powiedziała:

- Dziecko, po co się tak męczysz? Adoptowaliście sobie jakiegoś maluszka i byliście szczęśliwi...

Strasznie mnie to oburzyło. Przecież ja po tej operacji zaraz zajdę w ciążę i urodzę swoje dziecko, na pewno tak będzie, na pewno, na pewno, na pewno?

Do tego znaku zapytania doszło po kilku latach. W pewnym momencie stwierdziłam, że nie chcę już kolejnych kuracji, tego wyczekiwania co miesiąc i modlenia się o cud, który się nie przydarzał. Chcę, żeby jakaś mała istotka patrzyła na mnie z ufnością, jak tylko dziecko może patrzeć... Chcę być MAMA już, już...

I tu zaczynają się kłopoty...

Mój mąż nie był tym zachwycony, nie był na to gotowy. Nie mogłam go zaciągnąć do ośrodka adopcyjnego i powiedzieć: dajcie nam dziecko, bo ja tego bardzo pragnę, a mój mąż jeszcze o tym nie wie, że też tego pragnie.

Przysłowie mówi: Kropla drąży skałę. Było mnóstwo emocji, przegadanych nocy, łez...

Ale pomogło moje niezłomne przekonanie i powtarzanie, że mąż będzie najlepszym tatą na świecie, że w końcu staniemy się rodziną, której tak bardzo pragniemy, że damy radę, bo bardzo się kochamy i że tej miłości wystarczy też dla tej małej istotki, którą los nas obdarzy...

No i się zaczęło...

Najpierw rajd po zaświadczenia, mozolna praca nad historią o sobie i ... podanie o dziecko... Jak w kilku zdaniach opisać, jak bardzo tego potrzebujemy i że się do tego nadajemy? Po wielu próbach w końcu się udało i mieliśmy już komplet dokumentów. Do ośrodka umówiliśmy się 9 lutego 2012 roku, 10 lat po bezskutecznym staraniu się o dziecko.

Spotkanie było bardzo emocjonujące, przynajmniej dla mnie. Trzeba było przed obcym człowiekiem przyznać, że nie jesteśmy szczęśliwi, pozostając tylko sami na świecie, że potrzebujemy ich pomocy w stworzeniu rodziny. Spotkanie odbyło się w osobnej sali, było na swój sposób intymne i bardzo osobiste. Zapoznano nas z wstępną procedurą i przedstawiono nam ramy czasowe całego procesu

adopcyjnego. Mieliśmy niejaki rozestanie w temacie, bo znaleźliśmy parę, która od roku już czekała w kolejce na swojego synka. Okazało się, że nasza sytuacja będzie trochę inna, bo zmieniły się przepisy regulujące proces adopcji i będą zmiany... Niestety, zmiany nie były dla nas korzystne, bo wprowadzały obowiązek przejścia szkolenia adopcyjnego w grupie, według zasad, które dopiero ustalano. Trzeba uzbroid się w cierpliwość i czekać na sygnał z ośrodka.

Nazajutrz po rozmowie w ośrodku dostałam telefon od znajomych, którzy czekali od roku na synka, że dzwonili do nich z ośrodka, że mają im do przedstawienia chłopca... Czuliśmy się trochę „sprawcami” tej dobrej nowiny, bo w trakcie rozmowy padło pytanie o to, jak trafiliśmy do nich. Wspomnieliśmy o tych znajomych. Pewnie to był zbieg okoliczności, że dzień przed telefonem do nich rozmawialiśmy o nich w ośrodku, ale lubię myśleć, że to, że „podali dalej”, pomogło im...

Oni okazali się szczęściarzami, że czekali tak krótko. My musieliśmy czekać na naszego synka prawie dwa lata. Ale po kolei...

W ośrodku powiedzieli nam, że mamy czekać na wiadomości od nich. Gdy po dwóch miesiącach nie było żadnego telefonu, postanowiłam zadzwonić do ośrodka. Mój mąż oczywiście nie podzielał mojego zapału, uważał, że to niepotrzebne zawracanie głowy – kazali czekać, to czekajmy. W końcu go przekonałam. I co? Wyszło na moje. „Dlaczego dopiero teraz państwo dzwonią? Trzeba się umawiać na wywiad, na testy”. Ja widzę to tak, że oni cały czas wystawiają Twoją decyzję na próbę, żebyś im pokazał, jak bardzo Ci zależy. Pamiętam, że już po kursie – który się odbył na jesieni 2012, kiedy to mieliśmy wrażenie, że to już będzie niedługo i co kilka tygodni dzwoniłam do ośrodka, jak ta kolejka „dzieciowa” się posuwa – na pytanie: kiedy mogę dzwonić, usłyszałam od jednej pani pedagog, że mogę dzwonić, jak mam potrzebę...

Pierwszym etapem kwalifikacji jest tzw. USG DOMU. Trzeba się umówić z osobą, która robi wywiad w Waszym domu. I uspakajam, tylko w Waszym domu. Nie ma żadnego rozpytywania sąsiadów, wywiadu środowiskowego. Nic z tych rzeczy. Ale i tak wizyta, od której tak dużo zależy, jest wielkim przeżyciem.

Okazało się, że bardziej się przejmowałam, niż trzeba było. Pani Cecylia, która nas odwiedziła, była tak ciepłą i przyjazną osobą, że nie odczuliśmy tej wizyty jak kontroli. Było naprawdę bardzo miło.

Potem były testy, pierwsze z psychologiem, drugie z pedagogiem. Człowiek ma okazję spojrzeć na siebie z innej perspektywy i jeszcze raz przemyśleć swoje potrzeby. Ciekawe doświadczenie.

I w końcu kurs. Pięć par zebranych na parę godzin raz w tygodniu – w soboty – żeby poznawać zagadnienia związane z prawnym aspektem adopcji, wychowywaniem dzieci, problemami rozwojowymi, chorobami. Czy czuliśmy, że to potrzebne? W większości nie, ale konieczne jako kolejny etap procesu adopcyjnego. Znajomości, które tam zawiązaliśmy, do dzisiaj pielęgnujemy. To byli nasi ludzie z kolejki. Wspieraliśmy się potem w czekaniu.

Ostatni telefon o miejsce w kolejce wykonałam przed Świątami Bożego Narodzenia w 2013 roku. Rozmawiałam wtedy z inną osobą niż zwykle i usłyszałam, że jesteśmy pierwsi w kolejce po chłopca!!! Tu mała dygresja: w podaniu nie uwzględniliśmy płci dziecka. Chcieliśmy, żeby to los zdecydował. A los jest okrutniejszy dla chłopców, bo ich więcej trafia do adopcji, niż dziewczynek. Jak nie napiszecie, że chcecie dziewczynkę, to prawdopodobnie los ześle wam chłopca.

To była cudowna wiadomość, ale i tak nie wiedzieliśmy, kiedy ten Wielki Dzień nastąpi. Częstotliwość poprzednich adopcji była różna, czasem trzy miesiące nic się nie działo. Zdecydowaliśmy się rozpocząć remont, który odkładaliśmy od kilku miesięcy. Ogołociliśmy mieszkanie z mebli, spakowaliśmy nasze dwa koty, ubrania na dwa tygodnie i 6 stycznia 2014 roku przeprowadziliśmy się do mieszkania kuchyną, gdyż rozmiar prac uniemożliwiał normalną egzystencję w mieszkaniu.

I co? I BUM!!!

7 stycznia dostaję telefon, że jest sześciomiesięczny chłopiec do adopcji, jeśli zdecydujemy się go poznać!!! Ze zdenerwowania ledwo dałam radę spamiętać ustalenia, co do terminu spotkania. Jak skończyłam rozmawiać, to miałam taki mętlik uczuć, że myślałam, że mi głowa wybuchnie. Płakałam, śmiałam się i skakałam z radości. Żałowałam, że nie ma przy mnie męża. Jak już trochę oprzytomniałam, to zadzwoniłam do niego. Znow zaczęłam płakać i mąż wystraszył się, że coś strasznego się stało – typu ktoś umarł. Jak zdołałam wysłowić się wreszcie, to też się ucieszył. Prawdę mówiąc mniej niż ja, bo był przerażony, że to już tak blisko. Tak blisko do tego, żeby cały nasz świat się zatrząsł!!!!

Naszego synka poznaliśmy w piątek, 10 stycznia. Na spotkanie pojechaliśmy z panią Cecylią z ośrodka. Wcześniej przedstawiono nam krótką historię dziecka.

W domu rodziców zastępczych był tłum ludzi. Pamiętam to skrępowanie, te spojrzenia oceniające... potem dowiedzieliśmy się, że to powinno być bardziej kameralne, ale cóż... W pewnym momencie padło pytanie do pani Cecylii:

– Jak to zrobiliście?

Ona zdziwiona: – Co zrobiliście?

– Że oni tacy podobni do dziecka...

Akurat mąż trzymał chłopca na rękach. Spojrzałam na nich i łzy mi w oczach stanęły. Rzeczywiście, jakby kto skórę z męża zdjął...

– To sprawka wyższej instancji – odpowiedziała pani Cecylia.

Zaraz też zorganizowała nam pokój, żebyśmy mogli sami pobyć z dzieckiem.

Wzięłam na ręce małego chłopca, który się bacznie mi przyglądał swoimi dużymi NIEBIESKIMI oczyma, nie płakał, choć widział mnie po raz pierwszy. Łzy mi ciurkiem leciały, a uśmiech nie schodził mi z twarzy. Stwierdzenie, że go weźmiemy, było proste jak nic na świecie.

Wróciliśmy do domu...

I zaczęła się lekka panika... bo tu remont i wydane pieniądze, tu potrzeba tyle rzeczy naraz kupić dla dziecka... Czy zdążymy ze wszystkim na czas?

W podaniu uwzględniliśmy wiek dziecka do 1 roku, więc nie mogliśmy wcześniej kupować rzeczy na zapas i nie chcieliśmy się niepotrzebnie nakręcać. I tu z pomocą przyszła rodzina i przyjaciele. Na wieść o tym, że to już zaczęli nam wszystko znosić i robić listy potrzebnych prezentów. Musieliśmy kupić tylko poduszeczkę i butelki dla dziecka. To był cudowny czas. Doświadczaliśmy wtedy bardzo dużo życzliwości, pomocy i wsparcia.

20 stycznia 2014, w poniedziałek, pojechaliśmy z fotelikiem i kompletem ubrań po naszego synka. Już wtedy mieliśmy wybrane dla niego imię – ADAŚ. Po podpisaniu dokumentu o przekazaniu dziecka pod naszą opiekę zabraliśmy Adasia do domu.

Pogoda była okropna. Padał marznący deszcz, potem śnieg. Zabieraliśmy synka z miejscowości oddalonej od naszego domu o 2 godziny drogi i baliliśmy się okropnie. Na szczęście dotarliśmy bezpiecznie.

Remont skończył się dzień wcześniej. Zostały drobiazgi do wykończenia. Zdążyliśmy.

Pamiętam, że bardzo się bałam, że Adaś zacznie płakać po przyjeździe do obcego domu, że nie będzie umiała go utulić... Nic z tych rzeczy. Było tak, jakby wiedział, że jestem jego mamą i że będzie mu z nami dobrze.

Mój mąż był z nami 2 dni, potem wrócił do pracy. Trochę się bałam, czy sobie poradzę, ale Adaś bardzo ułatwiał mi zadanie. Był spokojny, długo spał, chętnie jadł, apetyt do dzisiaj mu dopisuje. Cudowne dziecko, anioł po prostu. Mąż, widząc, że opieka nad dzieckiem nie jest tak przerażającym zadaniem, coraz bardziej włączał się do obowiązków tacierzyńskich. Powoli stawał się cudownym tatą, jakim wiedziałam, że będzie...

W najbliższy weekend rozpoczął się najazd gości. Mam 6 rodzeństwa i wszyscy prawie na raz chcieli zobaczyć naszego synka. Było gwarnie i radośnie, nasz dom zaczął tętnić życiem. A Adaś czuł się wspaniale w tym rodzinnym gwarze...

Nasza rodzina, moja i męża, bardzo nas wspierała w decyzji adopcji. Od początku traktowali Adasia jak NASZE DZIECKO. Bo to jest nasze dziećko. Tylko urodziła go inna pani. Nie wiem, czy kochamy go jak „swoje”, ale kochamy go najbardziej na świecie i mamy nadzieję, że to wystarczy.

Dziś Adaś nie jest już takim aniołkiem, którym był jako niemowlę. Jest małym wulkanem energii, który trudno czasem opanować. Ale jak siedzimy razem w aucie z naszym dzieckiem, które wylicza jak katarzynka: tata, mama, ja, tata, mama, ja, tata, mama, ja – jesteśmy najszczęśliwsi na świecie...

Czego i Wam życzę...



Beata i Andrzej

CHOMIKOWA ŻABKA

Padał śnieg, a mróz szczypał w noski, ale to był piękny i wyjątkowy dzień dla Chomika, bo poślubił swoją Ukochaną Chomiczkę.

Uwili sobie własne gniazdko pełne ciepła i miłości. Chomiczka dbała o swojego męża, gotowała mu obiady, rozpieszczała ciastami własnej roboty. Spędzali miło czas ze swoją rodziną, przyjaciółmi i tak mijały lata, ale zastanawiali się, kiedy będą mieli swoje wymarzone i upragnione małeństwo.

Po wspólnych rozmowach małżeństwo Chomików wybrało się do doktora Sowy. Mijały kolejne pory roku, aż Pan Sowa wpadł na pomysł, aby małżeństwo udało się o pomoc do Pani Bocianowej. Chomiki po powrocie do swojego gniazdka podzielili się tą wiadomością ze swoją rodziną i przyjaciółmi.

Nastała piękna złota jesień. Chomik zabrał swoją żonę na Wzgórze Nadziei do Pani Bocianowej. Tam opowiedzieli o swoim pragnieniu powiększenia rodziny i obdarowaniu miłością małego dziecka. Pani Bocianowa postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy i pomóc Rodzinie.

Mijały dni, tygodnie i miesiące. Chomiki kochały się mocno i wspierały, kiedy czuły pustkę w swoim domku i serduszkach z braku dziecka.

Pewnego letniego dnia, gdy żona Chomika szła do pracy, zadzwonił telefon. Pomyślała, że to jej przyjaciółka Wiewiórka, ale się pomyliła, bo to była Pani Bocianowa z cudowną wiadomością. Chomiczka ze szczęścia popłakała się – BĘDĘ MAMA, a CHOMIK TATA.

Gdy poznali swojego małego Synka Żabkę, zakochali się, a na ich twarzach promieniał uśmiech i szczęście. Serca wypełniły się miłością do swojej upragnionej i wyczekanej Żabki.

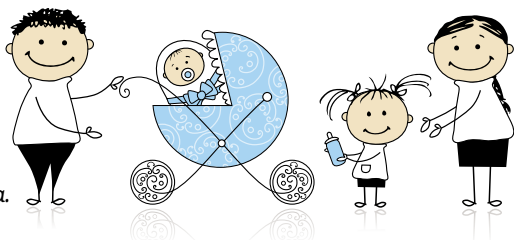
Od momentu przyjazdu Synka do gniazdka życie rodziców nabrało radości i chęci do pokazywania pięknego świata swojemu ukochanemu Synkowi.

Marta i Artur



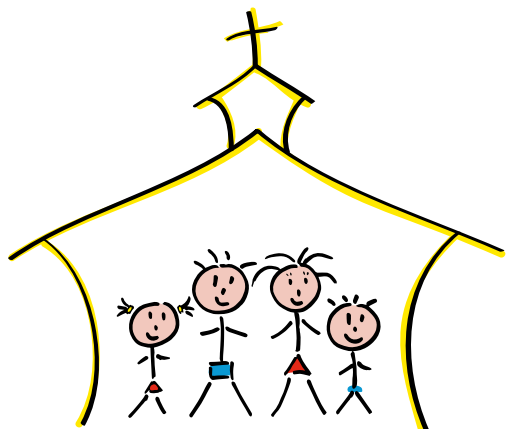
Serce Wojtusia

Chciałabym dziś opowiedzieć słów kilka
 Nie o złej wiedźmie czy strasznych wilkach,
 Przeciwnie - bajkę pełną szczęścia i radości,
 Która się zdarzyła za sprawą pewnej wielkiej miłości.
 Kiedyś dawno, bo prawie ćwierć wieku temu
 Pewna pani ślubowała wybrankowi swemu.
 Poznali się przypadkowo, jak to zwykle bywa
 Na skraju pięknego lasu, właśnie rozpoczynali się żniwa.
 Byli młodzi i szczęśliwi, wiadomo przecie,
 Pojawiło się pierwsze dziecko na świecie.
 Dziewczynka śliczna i mądra do tego,
 Nie brakowało im niczego,
 Ale z czasem zapragnęli powiększyć swoją rodzinę.



Musiał zdarzyć się cud, żeby jak dawniej było.
 W sercu mamy światełko się zaświeciło.
 Powiedziała do taty - kogoś nam brakuje,
 A tata na to - ja tego nie czuję.
 Wszystko mam, niczego nie potrzebuję.
 Adopcja, dziecko - nie, stanowczo dziękuję.
 Minęło trochę czasu, mama nie naciskała,
 Modliła się tylko i cierpliwie czekała
 Na cud, który przyszedł niespodziewanie.
 Była niedziela, zjedli śniadanie,
 Poszli razem do kościoła.
 Pełno było dzieci dookoła,
 Przyszły z miejscowego biduła.

Powitali na świecie drugą dziecinę.
 Radości było co niemiara,
 Dwie córeczki i zgrana para.
 Tak mijały miesiące i lata.
 Dzieci do szkoły, do pracy mama i tata.
 Tą zgraną czwórkę trudno było zastać razem,
 Mijali się bez przerwy, widywali się tylko czasem.
 Myślicie sobie - przecież wszystko się udało,
 Czego chcieć więcej - dom, rodzina to mało?
 Ale mama myślała inaczej, czegoś wciąż brakowało.
 Iskierka miłości zaczęła wygasać,
 Rutyna, szara codzienność poczęła się wkradać.



*R*azem z nimi opiekunka Pani Ula.
 Mały chłopiec, który przykuł uwagę taty,
 Stał niespokojny w blasku dziwnej poświaty.
 Wyraźnie oświetlało go z góry to Coś.
 Bardzo chciał się przytulić do kogoś.
 Tata, patrząc na to z przejęciem i zaktopotaniem,
 Już wiedział, co zrobi, o czym powie mamie.
 Później to wszystko potoczyło się standardowo.
 Było mnóstwo papierów i niezbyt kolorowo,
 Ale nic nie odwidło ich od tego,
 Żeby jak najszybciej zamieszkać razem z małym kolegą.
 Spotkali na swojej drodze wspaniałych ludzi z ośrodka,
 Nie musieli pokonywać zbyt wysokiego schodka.

*O*d tej chwili każdy dzień dłużył się
 niemitosiernie.
 Mieli nadzieję, że czekają nienadaremnie.
 Minął długi rok i jeszcze trochę,
 Myśli były coraz bardziej płoche.
 Aż wreszcie dzień zwyczajny, normalny,
 Ale telefon od Pani Cecylii nierealny.
 Mama odbiera, pełna nerwów i twrogi.
 Jest chłopiec – pod mamą ugięły się nogi.
 Nie wierzy, co słyszy, chłopiec taki duży.
 Przecież ta wiadomość wszystko burzy.
 Idealny dla was, dla waszej rodziny,
 Mówi dalej pani Cecylia. Dobrze, że nie widzi
 mamy miny.
 To najtrudniejsze chwile. Ile pytań,
 niepewności,

A najbardziej, że brakuje tej szczerzej radości.
 Ale szybko przyszło otrzeźwienie i rozsądek,
 Emocje minęły, wrócił porządek.
 Zebrała się cała rodzina – mama tata i córki dwie.
 Każdy potwierdził, że syna i brata – tego właśnie chce.
 Zamieszkał z nami białowłosy ośmiolatek.
 Czy wielki z niego gagatek?
 Daje tyle szczęścia i radości,
 Że szybko zapomina się o smutku i złości.
 Jesteśmy rodziną, to najważniejsze.
 Wreszcie ma kogo kochać Wojtusia wielkie serce.



Saga o Złotym Dziecku

Odynie Wielki! Thorze Wspaniały!

Pomnijcie żywot dzielnego woja.

Oto jarl Kaspar, nasz wódz pełen chwały,

co z waszej łaski zwyciężać zwykł w bojach!

Było to tak dawno temu, że najstarsze manuskrypty zdążyły posypać się w proch, a piewcy bohaterskich czynów odeszli w zapomnienie. Jednakże, najznamienitsi synowie swoich czasów przetrwali w pamięci żyjących i do dzisiaj z zaświatów kierują losami swoich potomnych.

W jednej z ówczesnie najwspanialszych warowni, nieopodal wielkiej wody stojącej, mieszkał wojownik, imieniem Przemysł, co swe korzenie z odległego grodu Kraka wywodził. Nie było to podówczas dziwnym zrzędzeniem losu, że zaprawieni w bojach, nawet z najdalszych stron przybywali, by na drakkary jarla Bjorna być zaciągniętymi. Z wikińskiej osady Jomsborg, przez ludy słowiańskie Wolinem zwanej, wielcy wojowie wypuszczali się na dalekie wyprawy łupieżcze, co chwałę i niemały majątek im przydawały. Jako, że Przemysł nie tyle w wojaczce się wsławił, co talenty organizacyjne posiadał, szybko na zastępcę jarla awansował i po jego prawicy zasiadał.

Pewnej srogiej zimy, kiedy Jomsborczycy z nudów zaplatali blond warkocz i dla zabicia czasu oddawali się zajęciom, na które w pozostałych porach roku ochoty nie mieli, wtedy właśnie do ich grodu tarczownica imieniem Doroteja wkroczyła. Zrazu wielkie poruszenie zapanowało, gdyż tradycja zabraniała kobietom być do drużyny przyjmowanymi. Może wrażenie na jarlu zrobiła tym, że mróz trzaskający jej nie zламаł, albo też próbą fechtunku, która nad wyraz dobrze wypadła. Ważne, że Bjorn na prywatną rozmowę ją prosił. Miała Doroteja pewien skarb, którym twarde serce wodza przekupiła. Była biegła w sztuce zębolecznictwa, co jak nic innego przydać się drużynie mogło. Zatem pierwszą niewiastą pośród męskiego stanu została. W czasie pokoju skutki wojennej zawieruchy naprawiała, a że podczas walki zębiska na potęgę leciały, pracy bez liku miała. Narzekała wprawdzie, że od grzebania w gębach ręce jej odpadają i jak niczego innego, przygód i wojaczki pragnie, tak więc jarl Bjorn pozwalał jej w szranki na równi z mężczyznanami stawać.

Przemysł, pod urokiem Doroteji będąc, nie mniej, niż każdy inny, a pewnie nawet bardziej, przez długi czas od oddania samego siebie w jej medyczne objęcia skutecznie się powstrzymywał. Tylko ukradkiem, jej sprawne palce, doprowadzające do porządku paskudnie obite gęby, podglądał. W końcu, kiedy na spotkanie sam na sam się odważył, wyznał Doroteji, że jej piękno i mądrość są adekwatne do jej imienia, które z greki „dar od bogów” oznaczało. Doroteja w Przemysle mężczyznę wrażliwego i oczytanego zauważyła, co pośród wikińskich wojów rzadkością bywało. Od tego dnia, obydwójce ku sobie się mieli. Swą miłość przed innymi taili, aby u niewyżytych wikingów nadmiernej ciekawości nie wywoływać. Tak, czy inaczej, Jomsborczycy tę parę jako sobie przeznaczoną postrzegali i z szacunku do nich, nikt tego związku kwestionować nie śmiał.

Mijały kolejne lata, a nasi bohaterowie dostatnio żyli, na swoich obowiązkach skupieni. Praca większość czasu im wypełniała i na snucie fantazji o innym życiu nie pozwalała. Oboje zdawali sobie

sprawę, że gdzie indziej ludziska nie wojują, a zamiast tego rodziny zakładają i przyziemnymi sprawami się zajmują. Jednak Przemysł i Doroteja członkami drużyny Jomsborczyków pozostawali, dla których wojaczka sensem życia była, a ich kodeks prowadzenia gospodarstw domowych nie przewidywał. Nasi bohaterowie zasadniczo spełnieni się czuli, chociaż coś im spokoju nie dawało... Coś nieokreślonego... Coś, co niebawem ich życie do góry nogami wyrzucić miało...

Pewnej wiosny, kiedy zapasy srebra mocno się uszczupliły, drużyna na wiking wyruszyła. Jomsborczycy złupić osady położone na południowym wybrzeżu Bornholmu zamierzali. Kiedy do brzegów wyspy znacznie się zbliżyli, za późno na przegrupowanie sił już było. Drakary pod banderą Jomsborga przez wroga zauważone zostały i naprzeciw im flotylla jarla Didrika wypłynęła. Jarl Bjorn takim obrotem spraw zaskoczony, domyślił się, że Bornholm przez niezwyciężone plemiona z daleko na północ położonych ziem Agderu zajęty został. To nie byli zwyczajni wikingowie, ale berserkowie, bólu ani strachu nie znający. W wilcze skóry poubierani, zniszczenie siali, a ich szał w walce, jak również nadludzka siła, ponoć od samego boga Odyna pochodziły. Jomsborczykom, również z odwagi i waleczności znanym, do głowy odwrót by nie przyszedł. Zatem, nadchodzące starcie ciężkim, a wynik nie do przewidzenia się wydawał. Niedługo potem nierówna walka rozgorzała. Dęcie w rogi, szczęk oręża, wrzaski rannych, pękające drewno łodzi słychać było. Ludzie na potęgę ginęli. Z chciwości i żądzy władzy. Kiedy wydawało się, że Jomsborczycy polegną, albowiem garstka ich osamotniona została, a siły przeciwnika znacznie przeważające były, zdarzyło się coś, co w oniemiaenie wszystkich walczących wprawilo. Nagle słońce zaszło, pomimo że południe dopiero minęło. Huk wielki usłyszeli, jak uderzenie pioruna co najmniej, ale dużo mocniejszy. Na nieboskłonie siatka niegasnących błyskawic się pojawiła. Dla dopełnienia tej złowrogiej sceny tylko otwarcia piekielnych czeluści brakowało. Woda w morzu się zagotowała, rozstąpiła i w swe odmęty wszystkie okręty wroga wciągnęła. Na powierzchni tylko łódź jarla Bjorna została, z Przemysłem, Doroteją i kilkudziesięcioma innymi ocalałymi. Tak szybko, jak się wszystko zaczęło, teraz się skończyło. Znów słońce wyszło i cisza zapadła. Powierzchnia wody niczym niezmacona była, jakby od wielu godzin flauta na morzu panowała. Wojownicy tylko przecierać swe oczy porażone jasnymi promieniami słońca mogli. Nikt odezwać się nie śmiał.

Chociaż Bornholmską wioskę już tylko na horyzoncie ledwo widać było, do okrętu jarla Bjorna mała łódka właśnie się zbliżała, może najwyżej na sześć łokci długa. Nikt nią nie sterował, ani wiosł też nie miała. W łódce mały chłopiec w złotej kolczudze stał. W rękę młot, jak na jego posturę za ciężki trzymał. W horyzont, ponad okręt wikingów się wpatrywał. Wojownicy do reszty oniemieli. Z gębami rozdziawionymi stali, wpatrując się w blond loki chłopca, od których popołudniowe słońce się odbijało, na wodę migotliwe rozbłyski rzucając. Chłopiec, jakby nigdy nic, na pokład drakkara się wdrapał, swój młot na podłogę upuścił, do Przemysła i Doroteji podszedł, choć wcale nie w pierwszym szeregu stali i przytulili się do nich. Łzy po policzkach im popłynęły, a reszta załogi nadal jak zaczarowana pozostawała. „Czy mogę do was mówić Mamo i Tato?” – chłopiec zapytał.

Kiedy na stały ląd powrócili, nic już takie samo nie było. Przemysł i Doroteja swojego synka miłością szczerą pokochali tak, jakby prawdziwymi rodzicami chłopca od zawsze byli. A Kaspar, bo tak na imię miał, na każdym kroku dowody przywiązania do swoich nowych rodziców dawał. Gorzej stosunki z resztą drużyny wikingów wypadły. Jedni chłopca za obcego uważali, za wcielenie mrocznych sił, które niechybnie na gród jakąś katastrofę ściągną. Drudzy wręcz odwrotnie, dzięki kolczudze

ze szczerego złota tyle, co zwykła tunika ważącej i przez młot bojowy, którym jak dziecinną zabawką chłopak wywijał, „złotym dzieckiem” go nazywali i przynajmniej za syna boga Thora go uważali. Chcieli mu zacy trón zbudować i do chłopca modły swe wznosić. Dla Przemysła i Doroteji za wiele tego było. Wiedzieli, że nikt im dobrowolnie opuścić miasta nie pozwoli, więc chyłkiem w środku nocy się wymknęli. Z niedużym bagażem tułaczkę po nowe życie rozpoczęli.

Pewnym krokiem, z wysoko podniesionymi głowami szli przed siebie, wikińskie melodie pod nosem podśpiewując. Kaspar, raz w jedną, raz w drugą stronę biegał, zbyt od rodziców się nie oddalając. Taka wyprawa w nieznaną o wiele bardziej się jemu podobała, niż w zamkniętym grodzie siedzenie. Poznając nowy, niezbadany świat, cały czas rodzicom masę pytań zadawał. Przemysł i Doroteja o przeszłości nie rozmawiali. Dzień poznania chłopca jako dobry sen im się jawił. Teraz ich synem był, co najwyższą wartość dla nich stanowiło. Trzeciego dnia wędrówki, na swej drodze rzekę napotkali, na drugim brzegu której niewielka osada przycupnęła. Nie warowny gród, ale wioseczka, gdzie z pewnością przyjaźni ludzie mieszkali. Łupinką znaną w szuwarach na drugą stronę rzeki się przepawili. Na placu po środku sioła stanęli. Nikt na nich specjalnej uwagi nie zwrócił. Kaspar na ramiona Przemysła się wdrapał i okrętowego nawigatora udawał. Starzec z siwą brodą do pasa ich przywitał. Gościń im zaproponował, gdyż w przybyłych wrogów, chcących palić czy łupić, nie widział. Doroteja, swoim aksamitnym, ale również zdecydowanym tonem, przewodniczącemu starszyny wyłożyła, że z miejsca, gdzie panoszą się wikingowie, uszli i że spokojnego miejsca do założenia nowego gospodarstwa szukają. Tyleż kłamstwo, co prawda to były, dlatego rodzice Kaspara wyrzutów sumienia nie mieli. Jako że z oczu dobrze im patrzyło, gospodarze wątpliwości więcej nie mieli i przybyszów do wioski bez nazwy, u ujścia Świniowej Rzeki zaprosili.

Życie Przemysła, Doroteji i Kaspara nie do poznania się zmieniło. Pośród życzliwych ludzi teraz mieszkali i szczęśliwymi byli. Każdy dzień nowe wyzwanie dla nich stanowił, bowiem wychowywaniem chłopca był wypełniony. Kaspar na każdym kroku ich zaskakiwał. Był inny od dzieci, jakie znali wcześniej. Czasem był malcem, opieki potrzebującym, przytulenia do matczynej piersi i męskiego ramienia przez życie prowadzącego. Kiedy indziej, jak czarowany się zachowywał. Dojrzałością i samodzielnością swoich rodziców zaskakiwał. Pilnie się uczył i chętnie dorosłych we wszystkim naśladował. Dzieckiem ruchliwym był, a rozpierająca go energia powodowała, że szybko liderem okolicznej młodzieży został. Czy od boga Thora, czy też od ojca Przemysła, smykalkę do wojaczki chłopak wywiódł. Choć złota kolczuga i młot bojowy schowane głęboko były, to i tak synowie okolicznych chłopów do drużyny młodocianych wojów Kaspara wcieleni zostali.

Niewątpliwie, spojrzenie na świat i system wartości Przemysła i Doroteji diametralnie się zmieniło, odkąd Kaspar w ich życie wkroczył. Dziękowali opatrności za ten wyjątkowy dar, całą swoją energię w szczęście i rozwój rodziny wkładając. „Mamusi, Tatusiu, jesteście najlepszymi rodzicami na świecie!” – Kaspar często i szczerze powtarzał. Co było dalej? O tym inna saga opowie. Mam jednak przeczucie, że wielka przygoda dopiero się rozpoczyna, a dalsze losy Kaspara, Doroteji i Przemysła szczęśliwie się potoczą...



Bajka o Antonince

M

Mała Tosia wskoczyła na ostatnią chmurkę:

– Policzyłam już wszystkie chmurki, kózki, krówki i owieczki.

Ptaszków nie policzyłaś – powiedział Pan Bóg z uśmiechem, który zawsze gościł na jego twarzy, gdy na nią patrzył.

Ptaszki policzyłam już wczoraj, kolejny raz. Troszkę już mi się nudzi. Co jeszcze mogę tatku zrobić?

Bóg zafrasował się dość poważnie, przeczesał z odrobiną niecierpliwości długą brodę i czuprynę:

– Posłuchaj mój skarbie, na jakiś czas rozstaniemy się. Przydzielę Ci bardzo ważne zadanie. Zdejmę Ci skrzydełka i zniosę delikatnie na ziemię. Tam się zaopiekujesz dwójką ludzi, którzy będą Twoimi rodzicami. Jeżeli spodoba się Tobie ta nowa zabawa, możesz zostać, jak długo chcesz.

Nachylił się do małej Tośki i rzekł szeptem:

– Tak po prawdzie to oni na Ciebie czekają. Już od dawna.

Na twarzy aniołka rozległ się wielki błogi uśmiech:

– To ja lecę tatku, nie czekaj na mnie.

Tymczasem na ziemi Pani Cecylia zadzwoniła do jednej z owych osób:

– Panie Rafał, jest taka sprawa, a nie mogę się dodzwonić do Pana żony...

Anna i Rafał



Rymowanka z dobrym zakończeniem

Za lasami, za górami, zatokami, przylądkami,
tam, gdzie rzeka Odra Płynie – miasto Szczecin,
a w Szczecinie pewien chłopak i dziewczyna
się za rękę mocno trzyma.

Patrząc sobie głęboko w oczy, miłość sobie wyznawali,
połączyli swoje serca i szybkoitko się pobrali.

Ewa i Artur, bo tak się nazywali,
kupili mieszkanko i razem zamieszkali.

Codziennie do pracy każde z nich chodziło,
potem do sklepu i po mieście się kręciło.

Było im bardzo smutno, gdy do pustego domku wracali,
kupili więc pieska, którego pokochali.

Czas szybko mijał, a oni często rozmawiali,
że bardzo chcą mieć dzieciątko, ale rady nie dawali.

Chodzili do doktora jednego, drugiego, badania zrobili
i choć bardzo się starali, i tak nic nie zmienili.

Smutek, ból i tęsknota ogarnęła zakochaną parę.

Wielka niemoc ich serce złapała,
że nigdy już w domu dzieciątka nie będzie miała.

Każdy, kto ich kochał, mówił, że ból minie,
że kiedyś jeszcze szczęście zagości w ich rodzinie.

Lata mijały, aż nadeszła pewna niedziela
i tego ranka spotkali dawno niewidzianego przyjaciela.

Krótką z nim rozmowa los ich odmieniła,
bo powiedział im historię, która jego życie zmieniła.

Najpierw powiedział, że w pewnym miejscu w Szczecinie jest dom,
a w nim grupa ludzi przychylnych każdej rodzinie.

Tłumaczył, że Panie i Panowie pracujący w tym miejscu
dają przyjaźń, nadzieję i wsparcie,
ofiarują nowy dom dzieciom, a rodzicom swe poparcie.

Kiedy tylko tę nowinę przyjaciele obwieścili,



zaraz młodzi do życzliwych ludzi z prośbą się zwrócili,
aby także ich serca szczęściem napełnili
i samotne dzieciątko u nich umieścili.
Oni im drogę radości wskazali,
powiedzieli, co zrobić, by je dostali.
Jak skarbnica wiedzy o wszystkim mówili,
często się z nimi spotykali i dobrze im radzili.
Aż któregoś dnia telefon zadzwonił,
zadzwoniła Pani, by ich powiadomić:
Jest maleńki chłopczyk czekający na nich.
Pragnie, żeby byli jego rodzicami.
Szybko pojechali poznać maleńkiego,
biorąc na spotkanie hipka ogromnego.
Serce się ścisnęło, łza się zakręciła,
kiedy zobaczyli ich przyszłego syna.
Poczekać musieli jeszcze dłuższą chwilę,
aż Sąd wyda zgodę, by zabrać dziecinę.
Teraz ich maluszek już z nimi zamieszkał
i jest super fajny ten mały koleżka.
Wielka radość w domu nastąpiła z pojawieniem się syna,
cieszy się cała rodzina i ich mała psina.
Przyjaźń między nimi nawiązała się wielka,
pies ma przyjaciela, a przyjaciel pieska.
Szczęśliwi rodzice z ogromnej wdzięczności
postanowili głosić dobre wiadomości.
Zachęcają inne kochające się pary
do dawania szczęścia, miłości i wiary.
To opowieść o tęsknocie, miłości, spotkaniu i marzeń spełnianiu.
O byciu razem szczęśliwą Rodziną: Mamą, Tatą i Synem z ukochanym Psiną.

Ewa i Artur

ZAKOŃCZENIE

Po drugiej stronie lustra

W przedstawionych bajkach i listach jest cała prawda o tym, jak powstała „Nasza Rodzina”. Nasza, czyli stworzona z pomocą pracowników ośrodka adopcyjnego przy udziale małżeństw, które pragnęły być mamą i tatą.

Nie wszyscy mogą adoptować dziecko, większość bowiem małżeństw rodzi swoje dziecko biologiczne. Do ośrodka przychodzą pary wybrane, może inne, lepsze i od pierwszego spotkania „nasze”.

Dziecko, któremu poszukujemy rodziny, też jest wybrane. Większość dzieci wychowuje się w swojej rodzinie biologicznej, tylko niektórym poszukujemy nowej i jestem pewna – lepszej rodziny.

Przy pierwszym spotkaniu ludzie są smutni, często zamyśleni, niepewni, małowówni, zdenerwowani, choć wszyscy wiedzą, po co przyszedli do ośrodka. Mówią: „my chcemy dziecko, prosimy o pomoc, wsparcie i szczęśliwe zakończenie całego procesu, który przed nami”.

Po kolejnych spotkaniach z pracownikami ośrodka oraz przebyтым szkoleniu kandydaci otrzymują zapewnienie, że ich marzenie o dziecku spełni się. Muszą tylko poczekać na telefon od „Bocianowej lub Dobrej Wróżki”.

U nas „Bocianowa” czuwa, szuka, pracuje całe miesiące, dzieci nie roznosi, a jedynie wykonuje telefon informujący przyszłych rodziców o narodzinach ich dziecka i zaprasza na spotkanie do ośrodka.

Spotkanie małżonków z dzieckiem jest bardzo wzruszające dla wszystkich, którzy w nim uczestniczą: są łzy, często nieporadność, drżenie rąk przy przytulaniu dziecka do siebie. Dziecko tylko rozgląda się, czasami uśmiecha, wzdycha i myśli: „czy mnie zechcą, czy prezentuję się dobrze, czy będę ich córeczką lub synkiem?”.

Rodzina adopcyjna, „Nasza Rodzina”, którą stworzyliśmy, jest prawie taka sama, jak rodzina biologiczna, ale to prawie oznacza może lepsza, doskonalsza, przygotowana i najważniejsze – wybrana dla wybranego dziecka, co musi się udać i procentować wychowawczo w przyszłości.

Pragnieniem wszystkich pracowników Publicznego Ośrodka Adopcyjnego w Szczecinie jest, by „Nasze Rodziny” były szczęśliwe, mocne, odporne na wszystkie przeszkody i przeciwności, które ich spotkają i by zawsze czuły się najlepszymi wybranymi rodzinami.

**Bocianowa
– Dobra Wróżka**





Publiczny Ośrodek Adopcyjny w Szczecinie
ul. Teofila Starzyńskiego 3-4
70-506 Szczecin.
tel. 91 425 36 60
faks: 91 425 36 67

www.poa.szczecin.pl
e-mail: poaszczecin@wzp.pl